

Werner Herzog

NOWELE FILMOWE

Aguirre, Gniew Boży

Każdy za siebie i Bóg przeciw wszystkim

Stroszek

Nosferatu

Tam, gdzie śnią zielone mrówki

Cobra Verde

Przełożyła Monika Muskała

Fitzcarraldo

Przełożyła Barbara Tarnas

Posłowie

Monika Muskała



OSOBY

Gonzalo Pizarro, brat Francisco Pizarra

Lope de Aguirre, „Gniew Boży”

Pedro de Ursua, hiszpański szlachcic

Inez de Atienza, ukochana Ursuy

Fernando de Guzman, „cesarz Peru”

Flores, córka Aguirre

Juan de Arnalte, młody hidalgo

Gaspar de Carvajal, dominikanin

Chimalpahin, Indianin ze szlachtetnego rodu, zwany
Baltazarem

Poplecznicy Aguirre:

Diego Bermúdez, Sebastián de Fuenterrabía i Gustavo
Perucho

OPIS POSTACI

GONZALO PIZARRO:

wyrośnięty, niesłychanie chudy, o cerze człowieka
cierpiącego na dolegliwości żołądkowe. Pozbawio-
ny skrupułów, typ wysoce inteligentnego analfabety,
podobnie jak jego brat Francisco.

LOPE DE AGUIRRE:

sam siebie nazywa Wielkim Zdrajcą albo Gniewem
Bożym. Fanatyczny, obsesyjny, bezgranicznie ambit-

ny, a przy tym bardzo przemyślny w działaniu. W typie Kafki z późniejszych zdjęć, w jego oczach płonie czern. Około czterdziestoletni, małowówny, żyłasty, z rękami jak stalowe szczypce. „Ręce”, powiedział pewnego razu Aguirre, „są do chwytania i zagarniania”. Bezwzględny, z patologiczną, niemal kryminalną energią, a jednak tak bezspornie ludzki, że trudno byłoby uznać ten rodzaj człowieka za dawno wymarły.

PEDRO DE URSUA:

trochę młodszy niż Aguirre, ale pochodzący ze starszej hiszpańskiej szlachty. Jest Baskiem, jak on. Ursua jest dobrze zbudowany, z pewną skłonnością do otyłości. Trochę gąbczasta twarz z mocnym zarostem w kolorze wyblakłego brązu, chorobliwie biała. Fizycznie i psychicznie bardzo sprawny, żwawy i nieskoordynowany w ruchach.

INEZ DE ATIENZA:

około dwudziestopięcio-, trzydziestoletnia, szlachetnie urodzona, trochę w typie madonny. Spokojna, nawet w największych tarapatkach zachowuje godność. Skromna i oddana.

FERNANDO DE GUZMAN:

oficer, który nigdy nie rzucał się w oczy, póki przez knowania Aguirre nie został obwołany cesarzem Peru. Dość bezbarwny, umiarkowanie inteligentny i w porównaniu z innymi umiarkowanie pazerny na złoto. Guzman jest najstarszym członkiem ekspedycji, trochę ponad pięćdziesięcioletnim. Włosy i broda poprzetykane siwizną. Grubokoścista, końska twarz. Wyniesiony na szczyt władzy, zaczyna wykazywać oznaki naiwnej próżności.

FLORES, CÓRKA AGUIRRE:

trzynastolatka, dopiero co opuściła klasztor, rozkwitająca piękność. Jest uosobieniem niewinności,

a wraz z Arnalte i Chimalpahinem jest czymś w rodzaju nadziei w filmie.

JUAN DE ARNALTE:

młody hidalgo, z wyglądu niemal chłopięcy. Typ marzyciela, amanta. Nawet gdy jest ranny, zachowuje urok. Popada często w wewnętrzny konflikt pomiędzy wojskowym nakazem posłuszeństwa a ludzkim odruchem.

GASPAR DE CARVAJAL:

dominikanin w sutannie, z tonsurą; później włosy mu odrastają, kędzierzawe i rozczochrane. Dość młody i niemal fanatyczny w misji nawracania. Przypomina trochę Artauda w filmie Dreyera o Joannie d'Arc.

CHIMALPAHIN:

Indianin ze szlchetnego rodu, zwany Baltazarem. Niespełna trzydziestoletni, szczupły, o złotawobrazowej skórze. Szlchetne rysy twarzy, długie czarne włosy z niebieskawym połyskiem, sprężyste w ruchach, mimo że w kajdankach. Pełen godności i głębokiej rezygnacji. Zawsze milczący, niemal apatyczny, zapatrzony w dal, pogrążony w pólśnie.

DIEGO BERMÚDEZ:

mianowany notariuszem. Zwinny, cyniczny, lojalny tylko wobec zbrodni. Elokwentny.

SEBASTIÁN DE FUENTERRABÍA

I GUSTAVO PERUCHO:

pazerne na złoto zbiry, zapuszczone i brutalne, na pierwszy rzut oka rozpoznawalni jako wcielenie zła. Perucho chce bezbronnym Indianom „spuścić manto”, a Fuenterrabía chwali się: „Nie biję, nie piję, nie łajdaczę się. Mój nałóg to polowanie na Indian”.

Marsz w Andach

Ośnieżone szczyty wokół, majestatyczne granie, góry jak święte katedry. Lodowata, czysta, bezwietrzna aura, na ziemi szron, wszędzie głęboka, dostojna cisza. Z grzbie-tów górskich spływają języki lodowców. Chmury jak-by znikąd wspinają się po zboczach. Wyżej powietrze jest jasne, błękitne, w dole ciemnofioletowe. Nic się nie porusza. Potężne góry wypiętrzają się w milczeniu do wysokości sześciu tysięcy metrów.

Zawrotny szwenk, zoom i kamera ukazuje krawędź przełęczy: nagle dostrzegamy sznur ludzi idących zyg-zakiem, poruszających się w sposób ledwie widoczny. W niektórych miejscach sznur się urywa, dalej znów się ciągnie, wije wśród skał, osuwisk, lodu. Oszalaniające opadanie kamery w dół: widzimy setki ludzi, którzy idą noga za nogą, gęsiego. Wyraźnie widać również zwierzę-ta: kilka koni, lamy, a nawet świnie – tam, na lodowcu. Stoją w długiej kolejce na skraju przepaści, śmiertelnie wyczerpane. Konwój posuwa się mozolnie naprzód.

Teraz jesteśmy blisko nich: są tam brodaci Hiszpa-nie w zbrojach i ze szpadami, wszyscy skrajnie zmę-czeni. Niektórzy niosą arkebuzy i proch, inni ciągną konie za cugle i, nie do wiary, Indianie dźwigają dwie lektyki. Za nimi długi, znojnny pochód Indian o niebie-skoczarnych włosach. Mają na sobie poncha i dziane z wełny czapki z nausznikami. Co przerażające, są spę-

tani łańcuchami. Obok nich Hiszpanie z kuszami, dalej w dół znowu Indianie, morderczym wysiłkiem ciągnący armaty na ciężkich kołach. Trzydziestu Indian wlecze jedną armatę na powrozach.

Mgły unoszą się po zboczach, spowijają konwój i odpływają. W oddali zbierają się kłębiaste chmury. Nikt nawet nie pisnie, nie pada żadne słowo, słychać tylko ciężkie oddechy i sapanie.

Zasapany pochód lam staje w miejscu. Są obładowane, dyszą, parskają wzburzone, niektóre węższą, marszcząc aksamitne nosy.

Jeden z Hiszpanów dźga świnie na lodowcu, ale ta ani drgnie. Wszystko jest jedną wielką męką. Świnie są wyćnięte.

Inny Hiszpan z powodu wyczerpania i rozrzedzonego powietrza dostał krwotoku z nosa, ale nie ma nawet siły, by wytrzeć krew. Kamienie staczają się z łoskotem tuż obok ludzi, głuchy pomruk.

Nagle z góry rozchodzi się wołanie podawane z ust do ust, coraz głośniejsze, bardziej zrozumiałe, przechodzi obok, zmierza w dół i niknie. „Udało się!”, wołają, „Jesteśmy na górze!”. Ale nie budzi to cienia radości, nikt nie przyśpiesza kroku. Wołanie huczy w dole, jakby nikt go nie rozumiał, jakby nikogo nie obeszło.

Tylko na wysokości przełęczy, gdzie stoi usypana góra kamieni, na której powiewają wystrzępione proporce, znać lekkie poruszenie. Marsz gęsiego rozprasza się, tworzy się korek. Mężczyźni padają na kolana, a Indianie, przykuci do siebie łańcuchem, odkładają toboły, kłękają i modlą się gorliwie z dłońmi złożonymi na wysokości ust.

Zauważamy Carvajala, dominikanina: zdejmuje z piersi krzyż, unosi go wysoko w lewej ręce nad rozciągającą się za przełęczą krainą, a prawą ręką ją błogo-

sławi. Teraz dostrzegamy również Aguirre. Wspinaczka na szczyt odcisnęła na jego twarzy piętno, widać w niej też niepokromioną wolę. „Udało nam się”, mówi przez łzy mężczyzna obok niego. „Ludzie”, powiada Aguirre, „to dopiero początek”.

Konwój na płaskowyżu

Rozległy płaskowyż otoczony ogromnymi górami. Przecina go konwój. Wieje silny wiatr, podmuchy unoszą piasek, zwierzęta tłoczą się ciasno. Niewiele rośnie na tej wysokości, widać tylko kępy twardych traw, pomiędzy nimi białe maźnięcia saletry. Spiętrzone chmury.

Widzimy stado dzikich alpak, wiatr mierzwi im gęstą wełnę. Węszą nieufnie, zdumione; nagle całe stado zrywa się i ucieka zbite ciasno, zostawiając kurz za sobą.

Konwój Hiszpanów, bliżej. W kłębach kurzu ciągnie wojsko. Przesuwa się lektyka, którą dźwigają indiańscy tragarze, poruszając się charakterystycznym truchtem, za nią druga lektyka. Flores uchyla lekko zasłonę i wygląda na zewnątrz, gdy jej lektyka zatrzymuje się z powodu spłoszonej lamy. Z tyłu lamy obładowane pakunkami, przytuleni do siebie wynędzniali Indianie, pomiędzy nimi Hiszpanie w pancerzach, uzbrojeni po zęby, stado świń, a potem znów Hiszpanie. Poganiają Indian brutalnie.

Początek konwoju. Gonzalo Pizarro jedzie na niespokojnym koniu, w zbroi i rozwianej pelerynie, wyrośnięty i nieprawdopodobnie chudy, na pierwszy rzut oka wydaje się wysoce inteligentny. Obok niego Ursua, trochę niepozorny, średniej postury, jego grubawa twarz jest bladoszara. Ursua nie wygląda zbyt zdrowo, dość cheralawo raczej, ale jest zwawy i pełen energii. Za nimi kilku

żołnierzy, brutalne typy, umorusane, znać, że w każdej chwili gotowe na wszystko. Indianie wydają się bardziej zadbani mimo złachanych ubrań, niektórzy mają na sobie koszule i spodnie, wielu jest boso albo w o wiele za lekkich sandałach. Posuwają się truchtem, zapadnięci w sobie, apatyczni, zrezygnowani, nie zważają na drogę. Ich wspólne ruchy są pewne i zgrane, po czym można poznać, że są do siebie przykuci już od wielu tygodni. Wśród Hiszpanów rozpoznajemy Bermúdeza, Perucha i Fuenterrabíę. Klnąc, poganiają Indian, którzy wyciągają wspólnymi siłami grzęznącą w piachu armatę.

Na końcu pochodu lamy z dziwnymi klatkami na grzbiecie. Po bliższym przyjrzeniu się klatki okazują się małymi kurnikami, w których siedzą oszołomione kury; nastroszyły się i najwyraźniej niedobrze im od kołysania.

Na końcu pochodu Aguirre na koniu. Zatrzymuje się przy trzech Hiszpanach, opatrujących czwartego z chorą nogą, który nie może iść dalej, choć zawzięcie, w milczeniu, próbuje.

„Arnalte”, mówi Aguirre do młodego rycerza, „weź jego rzeczy, zostaw mu tylko miecz”. Aguirre spina konia ostrogami i na odjezdnym woła do mężczyzn: „Dajcie mu konia, każdy człowiek się teraz liczy”.

Aguirre jedzie konno w kierunku czoła konwoju, który na płaskowyżu nieco lepiej się zorganizował. Odślania się rozmiar ekwipunku. Dopiero teraz rzuca się w oczy sfera skomlących dużych psów. Biegają wokół zziąjane i straszą Indian. Najwidoczniej wytresowane są do ich pilnowania, bo od czasu do czasu warczą groźnie i kłapią zębami, gdy któryś z Indian wyjdzie poza szereg. Aguirre zwalnia przy lektyce córki i przez chwilę jej towarzyszy. Flores chwyta ojca za rękę i ją całuje. Nie mówią ani słowa. Dziewczyna ogląda się za Indianinem,

który leży martwy na skraju drogi. Bose stopy Indianina są zrogowaciałe i popękane. Długie milczenie, po czym Aguirre rusza naprzód.

Carvajal wędruje na piechotę z kijem w dłoni, wiatr unosi mu habit z przodu, nadyma materiał i łopocze nim. Aguirre pozdrawia go spojrzeniem. Carvajal odmawia różaniec, nie porusza przy tym ustami. Sprawia wrażenie człowieka twardego, który wie, czego chce.

Zejsście do doliny Urubamba

Ponura dolina, porośnięta gęsto zaczątkami puszczy amazońskiej. Zielone zbocza opadają stromo, wpisując się w zakola rzeki Urubamba. Jej szum dobiega z głębi. Trudno powiedzieć, jak wysoko sięga ściana gór, bo dolinę zamyka migotliwy sufit z mgieł i pary. Zbocza nikną w falujących oparach. Słychać przytłumione szemranie wodospadu. Ze spiętrzonych kłębow pary wylatują kolibry.

Konwój posuwa się naprzód. Z nieprawdopodobnym trudem Indianie opuszczają między drzewami ciężką armatę. Morderczy wysiłek. Jest tak stromo, że nie sposób sprowadzić koni w dół po gęsto zarośniętym zboczu. Ślizgają się i wzbraniają, pociągane za cugle. Obie lektyki są puste, a Inez i Flores, unosząc długie spódnice, schodzą podtrzymywane przez Hiszpanów. Ursua pomaga Inez, a Arnalte, młody hidalgo, wyciąga z dołu rękę do Flores. Flores wygląda niemal jak dziecko.

Nagle krzyki z góry, zdenerwowanie. Łamią się gałęzie, trzask i z głuchym łoskotem obok kobiet stacza się w przepaść ciężkie działo. Koziółkując, toruje sobie drogę przez zarośla. Za nim ześlizguje się martwa świ-

nia. Daleko w dole wpadają w brunatne odmęty wodospadów na Urubambie.

Przykutym do siebie Indianom jest szczególnie ciężko, bo gdy jeden się pośliźnie, pociąga za sobą cały łańcuch. Indianie z wyżyny zaczynają chorować, prawie wszyscy dostali kataru, niektórzy się zataczają.

Widzimy siedzącego Indianina, którego rozkuto, bo był zbyt chory. Wstrząsają nim dreszcze, ma krótki oddech, jak przy zapaleniu płuc. Jeden z psów go obwąchuje, warczy. Przez dłuższą chwilę stoi naprzeciw bez ruchu, szczyrzy zęby na umierającego, straszny widok.

Kilku Hiszpanów próbuje pociągnąć naprzód lamy, ale strach zwierząt jest większy. Zaparły się nogami w miękkiej, wilgotnej ziemi. Szarpane, wyciągają długie szyje. Nie pójdą, choćby miały zginąć. Z dołu poprzez szum wody przebijają się krzyki, ale nie widać, co się stało.

Nad rzeką Urubamba

Na wąskiej półce skalnej, na której koń z trudem może ustać, zatrzymało się czoło konwoju. Wszyscy starają się utrzymać równowagę i nie spaść do wzburzonej wody. Wydają się dość bezradni, tylko Aguirre kalkuluje chłodno. Gonzalo Pizarro stwarza pozory spokoju. „Wszystko po to”, mówi, „byśmy się obłowili jak jeszcze nikt”.

Nocny obóz nad rzeką

Obozowisko rozciągnięte nad rzeką. Na wąskim przesmyku wzdłuż stromo opadającego brzegu migoczą ogniska.